

Witold Kaliński

PRYZGODA Z GÓRAMI W TLE

Urodzony wśród dziesiątki zbiegów okoliczności, znalazłem się w grudniu 1944 roku w Wierchomli, na zachodnich brzegach niegdysiejszego „państwa muszyńskiego”, na południowych rubieżach rozpadającej się wraz z Trzecią Rzeszą Generalnej Guberni. Nie do wiary, ale nie byłem świadom żadnego z tych ograniczeń.

Front gładko przeszedł nad moją głową i już wiosną 1945 roku byłem z rodzicami w „stolicy księstwa” — w Muszynie. W kościele muszyńskim też wypędzano ze mnie po raz pierwszy diabła (a przecież stale czuję pod żebrem diabelski pazur), ale nie pamiętam ani tego dnia, ani związanych z nim przeżyć. Został mi po nich pamiątkowy ryngraf i jeden już tylko kieliszek do wódki — resztką z praktycznego prezentu dla Polaka.

Wierchomlę zobaczyłem ponownie — kiedy? czy nie w wakacje 1958 roku? Jeśli wkrótce ukończę budowę domku, jaki tutaj stawiam, będzie to może w 40-lecie tamtych dni?

Właśnie wybierałem się do liceum, mój kuzyn, Michał Urbanowski (wnuk Michała Szurka, prawie do końca I wojny światowej nadleśniczego w Muszynie), zresztą także. To z nim przebiegałem wtedy polany górskie: on szukał grzybów, ja — zmęczenia, które mnie łatwo dopadało. Penetrowaliśmy i doliny, tym razem w poszukiwaniu dziewcząt miejscowych czy przyjezdnych, w których my — niezdamni uczniowie czarnoksiężnika — moglibyśmy ulokować nabrzmiewające uczucia.

Gdybym w tamtym okresie jeździł na wakacje do Narola (miejscowość wśród lasów, nad rzeką Tanwią, północny cypel Galicji), z którym to miejscem związane były dzieje rodziny Kalińskich u korzeni XX wieku — czy dziś stawiałbym dom w Puszczy Solskiej? Tego nie wiem na pewno, mogę tylko przypuszczać, że krajobraz okolic Limanowej, Myślenic i bardziej od tych miasteczek romantycznej, bardziej górzystej i do niedawna dwukulturowej Wierchomli — a wszędzie, tam i tu, miałem ciotki — okazał się decydujący dla moich dzisiejszych wyborów.

Wierchomla — noce na sianie, a jeśli nawet nie cała rodzina się zjechała i spaliśmy w pokoju, to oświetlonym wieczorami — jeszcze w 1960 roku — lampą naftową. Czytanie przedwojennych powieści groszowych i tuż-powojennych przygód Old Shatterhanda. Wyprawy do odległego o 5 kilometrów Hanuszowa do piekarni po chlebem pachnący chleb. Raz — pociągiem, siedząc na ostatnim stopniu i machając nogami tuż nad uciekającą ziemią. Kiedy indziej — rowerem, zawsze przez most kolejowy na Popradzie, z duszą na ramieniu, czy ktoś nie złapie albo czy jadący właśnie pociąg nie ciśnie nas między metalowe dźwigary.

Nie cisnął i nie złapał, dopóki pewnego dnia kąpiącego się w Popradzie młokosa nie zgarnął patrol ówczesnego WOP-u, dziś: Straży Granicznej. I to takiego akurat dnia, gdy kąpaliśmy się całkiem niewinnie, nie wymieniając polskich papierosów na czeskie czy słowackie tenisówki. Jak zwykle zresztą, więcej było w tym procederze emocji niż rzeczywistej kontrabandy.

Inicjatorem tych przedsięwzięć był zazwyczaj mieszkający wtedy tu „na stałe” (zabawny zwrot dla kogoś, kto żyje zaledwie kilkadziesiąt lat) wspomniany wyżej kuzyn Michał, toteż na jego barki chcę zrzucić także główną część zasług płynących z kłusowania w potoku, uwieńczonego zawsze pstrągiem i fioletowymi z zimna kończynami.

Ale który z nas, idąc w ślady powieściowych bohaterów (a pożeraliśmy książki hurtem), zainicjował wyprawę do księżowego sadu po — oczywiście jeszcze niedojrzałe — papierówki? Dzisiaj po kapliczce w dole wsi, naprzeciw kruszarek kamieniołomu, nie ma śladu — spłonęła którejś zimy, a i fundamenty rozebranej wkrótce plebanii wtopiły się w ziemię. (Plebania była fragmentem zabudowań, pozostałym po wcześniej tu usytuowanym dużym dworze; inny fragment tych zabudowań znajduje się w sądeckim skansenie). Takie są jednak prawa subiektywnej topografii, że dla moich oczu stoi i ta kaplica, i zabudowania plebanii. Mieszkał tam przecież ksiądz Mucha z siostrą gospodynią, przychodził do Ciotki na karty... a gdy nadeszła moda na hula-hoop, dostał od niej — na imieniny? — kółko ze stosownym do jego tuszy raczej niż do szaty duchownej wierszykiem:

*Nawet Mucha mimo brzucha
hula-hoopem żwawo rucha!*

Tak bardzo się ksiądz Mucha „ruchać” nie musiał, bo dzisiejszy kościół wierchomlański, a przedwojenna cerkiew greckokatolicka, był wtedy zamknięty na głucho. Obsługiwał więc „naszą” kapliczkę i — rzadziej — kościółek w Zubrzyku. Parafian liczba nie była duża, nie wiem, czy na każde 10 zagród z 1939 roku przypadała jedna w roku 1958. Zaś już dosłownie nikt nie mieszkał „na górach”. Niemal wszyscy — czy to osiedleńcy z sąsiednich wsi, czy nieśmiało powracający Łemkowie — trzymali się wyboistej drogi wzdłuż Wierchomlanki i jej dopływu: potoku Baraniackiego.

Gdy szedłeś od stacyjki kolejowej, mijając plebanie i — po drugiej stronie drogi — małą kapliczkę strzeżoną przez dwa potężniejsze drzewa, dochodziłeś wkrótce do ambitnie strzelającego ku górze domu z pocztą (zwany jest do dziś nie bez humoru Belwederem). Stąd do wsi był jeszcze kawałek drogi.

Może warto dodać, że Wierchomlanki jeszcze wtedy nie uregulowano i każdego lata zaskakiwała mnie inaczej biegnącym korytem: a to kawałek drogi chytrze podmyła, a to znów ku stromemu brzegowi południowemu uciekła.

Za potokiem zaś — wcale pokaźne, z paru domów złożone osiedle — na dziś wydawanych mapach wciąż jeszcze widać tam dwa kwadraty oznaczające zagrody oraz nazwę: Żedlarki. Nazwy tej nie pamiętam z młodości, a dziś już to jest sam środek kamieniołomu, zawsze ohydny, ale też i zawsze broniącego wejścia do doliny przed niepowołanymi inwestorami. Zabrakło też pulsujących w sierpniowym słońcu zboczy z zatrząsieniem ożyn, których sok nie ma sobie równego.

Gęstszą zabudowę rozpoczynał dom pana Gębki, postawiony w początku wieku przez włoskiego, wcale zręcznego architekta. Gdy był opuszczony, gnieździło się tu niemało kotów i dlatego nasza prywatna nazwa tego urodziwego obiektu brzmiała: Koci Zamek. Pan Gębka był przez wiele lat lokalnym pedagogiem, zresztą wolnomyślicielem i oryginałem, chociaż kto wie, czy w tej akurat „konkurencji” nie przebijał go doktor Bilski, dobry diagnosta i stosujący kuracje ziołowe lekarz. W byle jakim paletku, z pamiętającą Franca Józefa teczką pod pachą, w drucianych okularach na nosie i nieodłączną książką w ręce — takim pamiętam go, zanim zginął w nie

pozbawionych dramatyzmu okolicznościach. Znacznie wcześniej zdołał jednak nareperować kolano mojego młodszego brata, paskudnie rozcięte, gdy ten usiłował zjechać z górki na hulajnodze (nie było jeszcze rowerów górskich, a gdyby były, i tak nie byłoby nas na taki rower stać) — uczyliśmy się utrzymywać równowagę, jeżdżąc bez łańcucha na trupach rowerów, gdzie koła zaledwie były połączone jaką-taką ramą z czymś na kształt kierownicy. Siodełko nie wchodziło w grę, zresztą z niego i tak byłoby za daleko do pedałów i do zbawczej ziemi, gdy pojazd wykonał nieprzewidzianą woltę. Jeździliśmy omijając dziury w klepisku drogi: asfalt wymyślili na szosie wiodącej do Muszyny nieco później.



Michał Szurek przed Gniazdem Szurków w Wierchomli — lata trzydzieste (z albumu Witolda Kalińskiego).

Trwał jakiś nieuchwytny duch porozumienia między Gniazdem Szurków, Kocim Zamkiem, domem doktora, plebanią, chociaż — z wyjątkiem księdza Muchy — tamci przedstawiciele lokalnej inteligencji nie byli często w Gnieździe widywani. Istnieli jednak w napomknieniach, choć nie aż tak barwnych, jak mrożąca krew w żyłach opowieść o sąsiadce zza lasu, która swego męża tak zgrabnie siekierą na części podzieliła, a podzielonego nader racjonalnie spożytkowała, że długo śledztwo nie mogło niczego dowieść, aż wreszcie znudzona nieustannym nagabywaniem „żoneczka” sama szczerze opowiedziała, jak to było. W tym samym zresztą czasie Ciotka kupowała od niej wieprzowinę w słojach, więc ile razy w letnim upale nie szła nam w smak (wieprzowina, nie Ciotunia), mówiliśmy z Michałem, że to przetworzony nieco za pośrednictwem chętnych wieprzków, świeć Panie nad jego duszą, nieboszczyk. Staruszkę jako nadmierną racjonalistkę zamknięto najpierw w szpitalu wariatów, potem zaś wypuszczono, by nad Popradem dożyła swych dni. Widowało się ją — o dwóch kijkach — drepczącą szosą wzdłuż torów kolejowych. Aż dodreptała do przydrożnej śmierci. Mam nadzieję, że jej duch nie ma mi za złe tych wspomnień, w których groza miesza się z podziwem, bo przecież w każdej rodzinie są jacyś niedostosowani bardziej od innych. W mojej także, tyle że to już inna, nie wierchomlańska, aczkolwiek nadal galicyjska historia.

Człowiek nasiąka historią okolicy, a jeszcze pewniej historią rodzinną, raz przypominając film grozy, kiedy indziej opowieść myśliwską, ludową czy szlachecką gawędę. Z zawieruchy wojennej, której pierwsze rozdziały Matka — początkowo jeszcze Medwecka, a wkrótce po wejściu Rosjan już Kalińska — przeżywała we Lwowie, nie ocalało nic prawie. Ale wśród tego „prawie” były dwa pięknie wydane tomy Słowackiego w opracowaniu Tadeusza Piniego. Na poematach „Żmija”, „Mnich”, „Jan Bielecki” niemalże uczyłem się czytać. Potem przyszedł Ujejski: „Ułas”, „Urodzony Jan Dębóróg”. Gdy dzisiaj słyszę utyskiwania uczniów: „och, to napisane wierszem!” — myślę, że w powojennej mizerii zostałem jednak sownie obdarzony.

Wychowany na literaturze romantyków — czy dlatego bardziej interesowałem się jaśniejącymi po polanach górskich fundamentami wypalonych lub rozebranych siedzib Łemków niż chałupami wzdłuż wiejskiej drogi i potoku, gdzie nowi ludzie osiągnęli szczyty płodności w tempie możliwym tylko po wojnie, a przed nastaniem sytej ery telewizji? Chałup po górach już prawie nie było, ale na cud inżynierii zakrawały drogi dojazdowe do dzdiziałych sadów — były tak mądre, że znanstwem poprowadzone, że mógłbyś wjechać na każdą górę maluchem, gdyby fiat 126 już istniał. Taka droga łagodnymi zakosami zawsze doprowadzała tam, gdzie należy: do resztek ogrodu, do starej studni, do kamieniska fundamentów, gdzie swoje narady prowadziły okoliczne, różnogatunkowe żmije i inna gadzina. Kuzyni wracali z prawdziwkami, ja niosąc dwie - trzy kanie, no, jeszcze parę rydzów, jeśli wlażyły mi pod nogi. Ech, rydze, ech, pstrągi!

Uczeń ogólniaka, bywałem w Wierchomli tylko latem. Pamiętam upalne sierpień, letnie burze, powódzie (mówiło się, że zawdzięczamy je Słowakom, wdzięcznie popuszczającym tamy — ale co oni mieli robić z wodą? nabierać jej w usta?). Ba — pamiętam czysty Poprad.

Ale jedno zostało: krystaliczna woda mineralna, wypływająca w kilku miejscach wsi. Jedne źródła z rudym nalotem rdzy, pije się świetnie, zwłaszcza natychmiast po nabraniu, bez przynoszenia do domu w butelkach. Inne — rzadsze — pachną zepsutymi jajami, ale też niezłe, jeśli uda ci się łyknąć bez wachania.

W samej Wierchomli jest zlokalizowanych około 200 źródeł — większość to oczywiście „czysta woda źródłana”, ale i taką gdzie indziej sprzedaje się w plastikowych butelkach na użytek podtrutyh mieszkańców miast. Ci z nich, którzy przybywają tu latem i zimą, chodzą z własnym kubkiem i porównują smak wody w poszczególnych źródłach mineralnych i tych zwykłych.

By u źródła wzmocnić siły, w tych latach jeszcze nie nadwątlone, przyjechałem jako student do znanej już sobie z corocznych wakacji letnich Wierchomli zimą 1964 roku. Oryginalna technika jazdy na nartach upoważniała mnie jedynie do wydreptywania oślich łączek, toteż bardziej niż uciechy na śniegu upamiętniły mi się kolędy przy zdezelowanym cokolwiek pianinie. Tej samej zimy po raz pierwszy była w Gnieździe moja późniejsza żona. Ten — czy jakiś z następnych przyjazdów okazał się decydujący dla akceptacji gór przez dziewczynę z nizin? Były przyjazdy letnie, były i wiosenne, wielkanocne — raz we dwoje, to znów z przyjaciółmi. Jeździliśmy wtedy „wszędzie”: w Tatry, w Bieszczady, na polską Orawę... jednak po niemal 30 latach od pierwszego tu Krysi pobytu — to ona wystąpiła z propozycją uwikłania się w budowę domku w Wierchomli. Tu była ziemia naszej przygody, tu towarzyszyliśmy rośnięciu dzieci Stefana i Kasi Hnatyszaków, przemianie wsi z drewnianej w budowaną, przejściu od ledwie zelektryfikowanego ustronia w „globalną wioskę” z talerzami anten satelitar-nych niby z odczyniającymi ten sam odwieczny urok amuletami, wymierzonymi w niebieską strefę.

Nasz dom będzie nieduży, nie pomieści rodziny wielopokoleniowej i rozgałęzionej. Może też nie będzie musiał mieścić — jak to było z Gniazdem czasu wojny — w suterynie Grenzschtzu (niemiecka straż graniczna), na parterze rodziny Szurków, w pokoju poddasza ukrywającego się rodzeństwa żydowskiego ze Lwowa. Zaś na korytarzu — moich rodziców z planami na zaistnienie autora tych notatek. A może bez planów?

W każdym razie wtedy rozpoczęła się moja przygoda z górami w tle.